

Z cyklu: MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY
Władysław Zambrzycki – *Stosunki w rodzinie pp. N.*

„Naokoło Świata”,
nr 57 z 1929 roku

Dziś o świcie obudziło mnie miauczenie kota. Był mokry i zziębnięty. Wyrzależem na podwórzu. Padał rześisty deszcz. Strumień pod laskiem figowym wystąpił z brzegów, zalewając okoliczne plantacje.

Ładna pogoda. Kotek kaszle. Być może nabawił się koklusz. Trzeba będzie przygotować parasol z liści palmowych.

O godzinie pierwszej po południu spokojna do niedawna rzeczka zniosła most, otoczyła dom, w którym mieszkam, i przerwała groblę, odcinając mi całkowicie odwrót. Uciekłem na dach, ale i tam znalazł mnie rozszalały żywioł. Wyrrywam deski i belki, buduję tratwę.

Siedzę na drzewie. Z tratwy pozostały drzazgi. Woda przybiera. Wspinam się coraz wyżej. Do wierzchołka daleko, a co stanie się ze mną, jeżeli poziom wody podniesie się ponad drzewo?

Słońce! Ileż radości przyniosło mi owego ranka. Teraz dopiero przekonałem się, iż drzewo jest starym korkowcem. Odrywam płyty pulchnej kory na pas raktunkowy.

Hej! Cóż to za dziwny okręt? Na dziobie nie zauważyłem nazwy, na pokładzie nie widać załogi. Może uda mi się przejechać na gapę. Jestem głodny. Z kuchni dolatuje zapach pieczonej koźliny z cebulką. Trzeba będzie poprzestać na daktylach, których kilka worków znalazłem w pakamerze. Z pragnienia nie umrę. Woda kapie przez szpary w suficie. Byle mnie tylko nie znaleźli.

Stało się. Ale to jacyś poczciwi ludzie. Spomiędzy worków wyciągnęła mnie za nogi młoda pani Jafetowa, żona blokmaistra okrętowego. Jak na niewiastę krzyczała niezbyt głośno. Mimo to zadrżały ściany, zbiegła się załoga. Jakiś stary, łyśy jegomość z brodą i faworytami przemówił:

– A panu co tu trzeba?

– Nic, tak sobie jadę – odpowiedziałem, lecz słowa te nie zrobiły dobrego wrażenia.

Jeden z członków załogi, niejaki p. Cham, wyraził zamiar rzucenia mnie do morza.

– Ja co powiem, proszę papy – tłumaczył brodaczowi – jego warto by wsadzić do worka i przywiązać kamień.

Sprzeciwił się temu stary wilk morski. Mrugnął znacząco i szepnął mi do ucha:

– Żadnych pasażerów przyjmować tu nie wolno, więc ja o panu nic nie wiem. A jakby się kto potem pytał, to sza.

Podziękowałem mu serdecznie.

Dziwne jest serce kobiety. Pani Jafetowa wyprowadziła mnie z ciemnej pakamery i oddała do mej dyspozycji niewielką, ale dobrze urządzoną kajutę. Wieczorem przyniosła gorącą kolację i kilka cegiełek, bym sobie mógł poczytać przed zaśnięciem. Okręt, na którym znalazłem schronienie, jest wędrowną menażerią. Oglądałem ciekawe bestie: marabuty, hardtmuty¹⁾, mamuty, koguty itp. Zwierzęta, choć tresowane, nie żyją w zgodzie. Sam widziałem, jak dziki mastodont pokąsał pocziwego kalodonta²⁾.

Stanowczo ten pan Cham coś do mnie czuje. Przyczepia się nie wiadomo o co. Oskarżył mnie przed Jafetem, jakobym usiłował uwieść mu żonę. Do sprawy wmieszał się siwobrody. Postawiłem się hardo i rzekłem:

– Admirale, proszę mnie zabezpieczyć przed zaczepkami tego Chama.

– To mój syn – szepnął starzec.

Poczułem się nieswojo.

Po czterdziestu dniach monotonnej podróży, na bocianim gnieździe rozległ się okrzyk:

– Ararat! Uj, Ararat!

We wszystkich kajutach zawrzało. Panie zajęły się toaletą, panowie – lądowaniem. Kapitan Noe (tak brzmi nazwisko starego naczelnika rodu) wypuścił przez okno gołąbka.

– Jeśli un wróci z gałązką w pysku – rzekł – to znaczy, że możemy wysiadać i nikt się nie zamacza.

Tresowany gołąbek istotnie wrócił. Przybiliśmy do brzegu.

Znalazłszy się na zielonej murawie, Noe kazał wytoczyć beczułkę wina i urządził się jak nieboskie stworzenie. A ten nicpoń Cham drwił z rodzzonego ojca w sposób wysoce nieprzyzwoity.

Po wytrzeźwieniu stary śmirus³⁾ zbeształ go okrutnie i kazał iść precz.

Dzielny staruszek z tego Noego.

1) Zabawa językowa nazwą czeskiej firmy „Koh-I-Noor Hardtmuth” produkującej materiały piśmienne (kredki, ołówki).

2) Jak wyżej: zabawa nazwą popularnego specyfiku (w paście i proszku) do mycia zębów.

3) Pijak – zob. B. Wieczorkiewicz, *Słownik gwary warszawskiej XIX wieku*, Warszawa 1966.